NUMER ZAWIERA 6 STRON. CENA NUMERU 15 gr.

Treść numeru:



Treść numeru:

ROK I WARSZAWA, DNIA 28 LUTEGO 1937 R. NR. 1

FILM • TEATR • MUZYKA • TANIEC • RADIO • MALARSTWO • FOTOGRAFIA • SPORT • TURYSTYKA • MODA • KOSMETYKA • ROZRYWKI

LEOPOLD BRODZIŃSKI

Źle się dziać zaczyna w Polskim Radio

Radio rozwija się coraz pomyślniej. Może to jest jeden z dowodów, że kryzys powoli ustępuje. Przybywa abonentów, przybywa ogłoszeń i przybywa coraz więcej złędnych audycyj.

Kiedy Radio było prywatną imprezą, rozwijało się wolniej, lecz jeśli chodzi o programy, były one na znacznie wyższym poziomie, niż w dobie obecnej. Mieliśmy sposobność my radioodbiorcy słuchać oper, operetek, rewii nadawanych wprost ze sceny. Radiosłuchacz czuł się, jakgdyby był jednym z widzów oklaskujących i zmuszających do bisów wykonawców. Z niecierpliwością szczególnie prowincja czekała na tego rodzaju audycje.

Tych, obecnie nie ma wcale w programach radia.

Pamiętamy do dziś, nadawane z Poznania „Casanovę“ Różyckiego, „Starą baśń“ Żeleńskiego itp.

Osobiście jako dyr. teatru „8.30“ stykałem się z reakcją radiosłuchaczów prowincjonalnych, otrzymując setki listów z prowincji po każdej takiej audycji jak np. „Peppina“ Stolza z teatru „8.30“. Zasypani byliśmy listami pytającymi, kiedy będziemy znowu nadawali z tej sceny. Dyrekcja Radia też otrzymała pokaźną liczbę żądań powtórzenia „Peppiny“, tak że ówczesny dyrektor muzyczny Polskiego Radia Tadeusz Mazurkiewicz zorganizował powtórzenie tej operetki już ze studia. „Kobieta, która wie czego chce“, „Hotel Imperial“, „No, no Nanette“, „Szczęśliwej podróży“, „Yacht Miłości“ i wiele innych, były to audycje, które dawały przegląd repertuaru muzycznego Warszawy. Dziś te rzeczy są z programu wyeliminowane, a szkoda.

Czyż te transmisje ze sceny, które w dodatku nadawane były bezinteresownie, nie dają większej, wesołej rozrywki i pewności niepopełnienia nietaktu, niż różne „Wesołe Fale“, które bardzo często nasuwają smutne refleksje.

Żądamy reformy

Dziwnie sfałszowany, zmącony i zdeformowany jest obraz naszej rzeczywistości filmowej. Po filmie polskim jeździ każdy jak po łysej kobyle. Na każdym rogu stoją moralizatorzy, nauczyciele, poprawiacze i starają się za wszelką cenę przeforsować swój plan „Wielkiej Reformy Filmowej“.

Ale jeśli tylko pozwolić im praktycznie wypróbować swe siły na terenie filmu wszystko kończy się sromotnym fiaskiem.

Z kogo składa się ta żałosna armja „reformatorów“ filmu polskiego?... Kto ma odrodzić ten film?...

Nie znakomici pisarze, malarze, reżyserzy teatralni!...

Grafomani najgorszego gatunku, którzy nie napisali ani jednej przyzwoitej powieści, ani jednego przyzwoitego wiersza. Kabaretowi geniusze, których szmoncesy wygnały ostatnich widzów z teatrzyków, „krytycy“, których wypocin film nie chce przyjąć, żeby się nie skompromitować. Zbieranina z pod ciemnej gwiazdy, śmieszne szumowiny, które chcą stworzyć sobie popularność zapomocą chamstwa, tupetu i bezczelnej autoreklamy.

To oni, nikt inny, uprawiają swój proceder, polegający na codziennym fałszowaniu polskiej rzeczywistości filmowej. Dzięki ich kreciej robocie niejeden czytelnik pewien jest, że film polski jest jakimś dziwnym potworkiem artystycznym, który przypadkiem tylko znalazł się na wysokim parnasie sztuki.

Ale ci ludzie skrzętnie ukrywają przed swymi czytelnikami, że nawet w tych okropnych warunkach, w jakich się tworzy film polski, film ten niejednokrotnie staje na najwyższym poziomie artystycznym. Ukrywaja bezczelnie, że film ten zdobywa niejednokrotnie ogólne uznanie zagranicą, jak „Młody las“, jak „Wyrok życia“. Zatajają, że odsetek takich właśnie pełnowartościowych filmowych dzieł sztuki, jest niemniejszy proporcjonalnie w Polsce, niż w Anglji, w Niemczech i we Francji!... A co najważniejsze ani słowem starają się nie zająknąć, że X muza na swym terenie może sie poszczycić względnie poważniejszemi osiągnięciami, niźli współczesna dramaturgja polska!... A jednak nikt nie wylewa przecie kubłów pomyj na naszą twórczość dramatyczną!...

Trzeba raz wreszcie położyć kres temu faryzeuszostwu! Trzeba raz wreszcie zedrzeć maskę z fałszywych nauczycieli i moralizatorów! Trzeba raz wreszcie odsłonić kulisy tego świętego oburzenia, kulisy niezaspokojonych apetytów!

Dalecy jesteśmy od generalizowania tych zarzutów. Jak zwykle, tak i w tym wypadku, jest szereg szlachetnych wyjątków, ludzi ożywionych najczystszymi intencjami i najszlachetniejszą pasja poszukiwań wielkiej sztuki. Tych ludzi poznać po ich stylu, który w niczym nie przypomina szwargotu wymyślających przekupek i handełesów.

Ich nazwiska — nazwiska Irzykowskiego, Wielopolskiej i wielu innych, otoczone powszechnym szacunkiem, oddzielone są nieprzeniknionym murem od zgrai tych, którzy z szarpania filmu polskiego uczynili sobie dość intratne zajęcie.

Jest ich jednak tak niewielu!

Jaka jest wobec tego rada na snobistyczne robactwo, które nalazło film polski ze swymi radami i uważa się za reformatorów tego filmu, będąc w rzeczywistości jego zwykłymi pasożytami?

Rada jest tylko jedna! Demaskowanie tych trutni, demaskowanie na każdym kroku! Wymienianie powodów, dla których taki jeden z drugim zapałał nagle świętym oburzeniem i prowadzi krucjatę przeciwko polskiej produkcji! Przypominanie, jakie to A B C głupoty i złego smaku prezentował w swych kiczach filmowych, niestety, zrealizowanych lub, na szczęście, odrzuconych, zanim stał się oburzonym satyrykiem!

Wymienianie nazw, dat, nazwisk i sum! To uciszy tych osobników i pozwoli zabrać głos uczciwej, bezinteresownej krytyce. To będzie prawdziwą reformą filmową.

I to dopiero pozwoli ukazać w prawdziwym, niesfałszowanym świetle oblicze filmu polskiego. Pozwoli stwierdzić, że obok filmów na złym, a nawet niedopuszczalnym poziomie, ukazują się również takie, którymi mogłaby się poszczycić zagranica.

Takie nabytki, jak „Barbara Radziwiłłówna“, którą zachwycał się obecny niedawno w Polsce prezes „Universalu“, Ch. Cowden, twierdząc, iż przewyższa ona „Marię Stuart“, lub najlepsza komedia tegoroczna, pełne smaku i wdzięku „Będzie lepiej“ ze Szczepkiem i Tońkiem.

Wówczas dopiero zostanie oceniona ciężka, bohaterska niekiedy praca naszych artystów, reżyserów, autorów i producentów, dyskredytowana przez kabaretowe tałałajstwo.

I stanie się zrozumiałe, czemu zostali ostatnio zarządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej i Prezesa Ministrów nagrodzeni Krzyżami Zasługi (15.II.1937) przedstawiciele naszej produkcji filmowej za zasługi na polu rozwoju filmu.

Gdyż rozwój ten dla wszystkich ludzi dobrej woli nie ulega wątpliwości.

Jest on dziełem nie przypadku, jak chcieliby grasanci, wyrzuceni poza nawias twórczej pracy filmowej, lecz długich lat wysiłku, lat ciężkich trudów, i upadków, ale niekiedy też i najpiękniejszych wzlotów.

ANATOL STERN

O właściwe miejsce dla filmu

Być może, iż należałoby inaczej zatytułować ten artykuł. Nie: „O właściwe miejsce dla filmu polskiego“ — ale: „Przeciwko fałszowaniu wartości“. O to mi bowiem przede wszystkim chodzi w tych kilku uwagach, które pragnę zanotować na marginesie naszej rzeczywistości artystycznej.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że filmowi (nietylko zresztą naszemu) dzieje się krzywda: nie docenia się jego roli artystycznej, jego funkcji kulturalnej. Dlaczego? Być może, płynie to stąd, iż X Muza jest „wdową“ „kobietą z przeszłością“ — i odpowiada dziś za grzechy swej młodości, — a raczej — za „grzechy dzieciństwa“. Jeśli jednak film zagraniczny z łatwością zrzucił z siebie ten balast, tyleż dzięki swemu błyskotliwemu rozwojowi, co energetyce kulturalnej społeczeństwa, — to u nas rzecz przedstawia się o wiele smutniej. W pierwszym rzędzie tłumaczy się to, rozumie się, powolniejszą ewolucją artystyczną polskiego filmu, ale niemniejszą rolę odgrywają takie czynniki, jak ospałość intelektualna naszej t. zw. inteligencji, a następnie świadome i nieświadome fałszowanie wartości artystycznych przez naszą krytykę literacką, — co nie zostaje bez wpływu również i na mniej odpornych przedstawicieli krytyki filmowej.

Nie ulega wątpliwości że tym właśnie wtórnym czynnikom należy przede wszystkim przypisać słabsze niż gdzieindziej, tempo rozwoju naszego filmu. Ospałość intelektualna naszej elity, niechęć zmiany raz już przyjętych i ustalonych szematów pojęciowych (o której nieraz już głęboko pisali K. Irzykowski i J. E. Skiwski) zniechęca twórców filmowych i stawia niebotyczny mur na ich drodze. Ta sama inercja myślowa, która stwarza tak dogodny teren popisu dla wielu najrozmaitszych miernot w naszej literaturze, kładzie również i film polski zdradzieckim sztychem. I jeśli film ten, mimo wszystko rozwija się i osiąga ostatnio godne uwagi wyniki, — to jest to najlepszym dowodem jego witalności i jego twórczych możliwości. Obowiązkiem jednak naszym jest ustrzec go przed grożącymi mu niebezpieczeństwami. I tu się otwiera piękne pole dla naszej krytyki, — nietylko filmowej.

Trzeba bowiem przede wszystkim pouczyć tę część naszej inteligencji, która jeszcze tego nie zrozumiała, — że jej „pobłażliwy“ stosunek do filmu polskiego jest nie na miejscu, — jest poprostu śmieszny. W hierarchji naszych sztuk film polski zajmuje dziś miejsce, w każdym razie, nie gorsze od teatru. Dowodem tego może być chociażby fakt, iż ostatnią nagrodę Związku Autorów Dramatycznych otrzymał Cwojdziński za „Epokę tempa“. Czy rzeczywiście porównanie tej sztuki z całym szeregiem naszych, przeciętnych nawet, filmów wypadłoby na jej korzyść? Jest to więcej, niż wątpliwe.

Należy wytłumaczyć ospalcom intelektualnym, że są ofiarami śmiesznego snobizmu, nieusprawiedliwionego niczem, poza niechęcią do samodzielnego myślenia. Ten sam bezkrytyczny ich stosunek, jaki ułatwia drogę triumfującemu zalewowi rynku wydawniczego przez dzisiejszą naszą wynaturzoną przeważnie, barokową literaturę kobiecą, — staje się nieprzezwyciężoną przeszkodą dla rozwoju polskiego filmu. Z tym właśnie brakiem własnej myśli nawet śród elity naszej inteligencji trzeba walczyć w sposób jak najbardziej zacięty. Trzeba bronić jej przed fałszowaniem wartości, — przed chaosem pojęciowym. W przeciwnym bowiem razie film polski może spotkać ten sam los, jaki spotkał nową sztukę polską, cynicznie pomniejszaną przez rozmaitych matadorów naszej krytyki oficjalnej, dopóki wreszcie ostatnie dzieło znakomitego krytyka K. Czachowskiego, nie zapoczątkowało właściwego „obrazu współczesnej literatury polskiej“.

Ta jednakże pedagogiczna rola krytyki naszej nie zostanie spełniona, dopóki nie stworzy ona sobie sama pewnego systemu wartości estetycznych. Tylko ciągłość pracy kulturalnej może przeorać ugór intelektualny, z jakim przeważnie mamy do czynienia. Dopóty, dopóki krytyk będzie wykonywał mniej lub więcej zręczne salto mortale w swych recenzjach, zapominając dziś o stanowisku, którego przedstawicielem był wczoraj, — sytuacja będzie beznadziejna. Niektórzy z naszych krytyków filmowych odpowiedzą mi na to, że podobnie się dzieje z krytyką np. literacką. Cóż, miejmy ambicję nie naśladowania złych wzorów i złych obyczajów, bez względu na to, skąd one pochodzą!... Wystrzegajmy się sami tego snobizmu, który powinniśmy zwalczać nieustępliwie w widzu filmowym. Tylko tym sposobem położymy fundament pod szeroko pojętą kulturę filmową, — i ukształtujemy właściwą hierarchję bezkarnie fałszowanych dziś wartości artystycznych. Tylko na tej drodze, słowem, wywalczymy właściwe miejsce dla coraz wyraźniej krystalizującego się w naszych oczach polskiego filmu artystycznego.

DYPLOMATYCZNA ŻONA



NOWA GWIAZDA EKRANU POLSKIEGO JADWIGA KENDA gra główną rolę w nowym filmie p. t. „DYPLOMATYCZNA ŻONA“ prod. „POLSKI - TOBIS“ reżys. MIECZYSŁAWA KRAWICZA.



NAPOLEON SĄDEK

GRYPA W ATELIER

Zaczęło się od tego, że pomocnik elektromechanika, siedzący na szczycie rusztowania, kichnął głośno w czasie zdjęć dźwiękowych.

Wszystkie oczy skierowały się gniewnie w stronę elektrotechnika. Przerwano zdjęcia i całą scenę trzeba było nakręcać od początku.

— Zepsuł mi 15 metrów taśmy! — mruknął gniewnie producent.

I wszyscy sądzili, że na tym się skończy. Nikt nie przypuszczał, jak straszne będzie w skutkach kichnięcie pomocnika elektrotechnika.

Gdy młody elektrotechnik kichnął, rozniosło się po wielkiej hali atelier 4 miliardy zarazków grypy.

I zaczęły się dziać rzeczy straszne, całkiem nieprzewidziane w programie zdjęć, w scenopisie i w listach montażowych.

* * *

Pierwszy poczuł łamanie w kościach reżyser. Dostał dreszczy. W oczach zaświeciły mu niezdrowe ogniki.

— Psia kość! — zaklął. — Zimno mi!

Kazał sobie podać szklankę czarnej kawy. Ale gdy kawa nie pomogła, oświadczył nagle i stanowczo:

— Nie będę kręcił sceny na ślizgawce!

— Dlaczego?! — przeraził się producent, który wydał trzy tysiące złotych, na zbudowanie ślizgawki w atelier.

— Dlatego, że mi zimno! — ryknął reżyser. — Nie jestem usposobiony do kręcenia scen na ślizgawce. Zamiast ślizgawki, nakręcimy inną scenę.

— Jaką?

— Scenę pożaru.

Producent błyskawicznie obliczył, ile to będzie kosztować i zadrżał wystraszony.

— Pożar nie był przewidziany w scenariuszu! Po co panu pożar?

— Muszę się trochę zagrzać! — wyjaśnił krótko reżyser.

* * *

Wezwano lekarza. Diagnoza nie była trudna. 39 stopni gorączki. Grypa. Reżyser natychmiast musi się położyć do łóżka.

Producent rozpłakał się.

— Panie doktorze! To niemożliwe! Za tydzień film musi być gotowy! Pierwszego premiera.

Doktór bezradnie rozłożył ręce.

— Nic nie poradzę. Chory musi położyć się do łóżka.

— Mam myśl! — zawołał producent i wybiegł z hali.

Po chwili wniesiono łóżko. Ustawiono obok aparatu.

— Niech się pan kładzie — powiedział producent. — Będzie pan reżyserował z łóżka.

Architekt malowniczo ułożył poduszki. Reżyser położył się. Wsparty na poduszkach, wydawał dyspozycje. Asystent co godzinę dawał mu proszek aspiriny.

* * *

Nazajutrz pierwszy amant, Ralfini, przyszedł do atelier owinięty trzema szalami.

— Nie mogą grać — powiedział zachrypniętym głosem. — Mam silną grypę.

Producent z rozpaczy rwał włosek za włoskiem.

— Chcecie mnie zniszczyć! — jęczał. — Połowa filmu już nakręcona! Nie mogę szukać innego amanta. Ralfini! Pan musi grać.

— Mam chrypę! Nie mogę śpiewać i nie mogę mówić!

— Nakręcimy z panem wszystkie sceny na niemo.

— Panie dyrektorze! — przypomniał nieśmiało asystent. — Ralfini ma długi dialog miłosny. Jak nakręcić na niemo dialog miłosny?.

— Trudno! Ralfini oświadczy się na migi. Będzie grał głuchoniemego.

— Nie możliwe — upierał sią asystent. — Według scenariusza Ralfini jest zdolnym adwokatem. Zdolny adwokat nie może być głuchoniemy.

— Trzeba mu zmienić zawód. Będzie sprzedawcą koszyków.

— Ale on w sądzie, jako adwokat, poznaje swą ukochaną!

— Nie szkodzi. Pozna ją w inny sposób. Ona podchodzi, żeby kupić koszyk, a on się w niej zakocha. Skreśli się przy tym dekorację sądu. Bardzo droga dekoracja.

* * *

— Dobrze! — powiedział reżyser, którego gorączka w tym momencie wzrosła do 40-tu stopni. — Dialogi się skreśli. Panie Ralfini! Niech pan na migi da znać swej partnerce, że pan ją kocha. Potem niech pan wyciśnie na jej ustach pocałunek na cztery do pięciu metrów.

Ale tu zaszła nowa, nieprzewidziana przeszkoda.

Partnerka nie chciała się zgodzić na pocałunek z Ralfinim.

— Ani mi się śni! Żeby mnie zaraził grypą?! Najwyżej mogę się pocałować z dublem.

* * *

Scenę pocałunku nakręcono z dublem. Dubel nie miał grypy, ale miał ukryty katar i nazajutrz amantka przyszła ze spuchniętym nosem.

Producent z rozpaczy gryzł paznogcie (włosy sobie już poprzednio powyrywał).

— Niszczą mnie! — łkał — Pierwszego musi być premiera! Ostateczny termin. A tu bohaterka filmu ma spuchnięty nos i bez przerwy kicha. Nie można nakręcić ostatniej sceny zaręczyn! Nie można pokazać zaręczyn z kichającą panną o spuchniętym nosie.

— Nie ma innej rady! — zdecydował producent. — Trzeba zmienić koniec filmu.

Ale jak?

Wszyscy zaczęli myśleć.

— Mam! — zawołał producent. — Film skończy się samobójstwem! Rodzice nie pozwolą na małżeństwo i zrozpaczona para zakochanych skoczy w nurty rzeki. Pod wodą amantka może sobie kichać ile wlizie. Nikt nie usłyszy i nikt nie zobaczy.

— Nie zgadzam się na samobójstwo! — zaprotestował autor. — To miała być komedia! Komedia nie może się kończyć samobójstwem!

— Nie szkodzi. Będzie dramat! Dramaty teraz lepiej nawet idą niż komedie!

Producent wypowiedział to jednym tchem i położył się do łóżka obok reżysera. Okazało się, że ma 40 stopni gorączki. Silna grypa.

* * *

Pierwszego była premiera. Nikt nie przyszedł. Publiczność miała grypę.

J. CHEEVRE COVDIN w atelier „Sfinks" podczas nakręcania filmu „Ordynat Michorowski"

Prace nad zdjęciami „Ordynata Michorowskiego" trwają w całej pełni pod ogólnym kierownictwem artystycznym Antoniego Szczerby, reżyserskim — Henryka Szaro i operatorskim — inż. Seweryna Steinwurzla. Filmowanie „Ordynata Michorowskiego" wywołało duży rezonans zagranicą. Atelier „Sfinksu", w którym odbywają się zdjęcia, odwiedził prezes dyrektoriatu Universal Pictures Corporation, p. Cheevre Covdin, który żywo interesował się przebiegiem prac nad realizacją tego filmu polskiego, i podziwiał znakomitą grę Franciszka Brodniewicza w roli ordynata, Ćwiklińskiej oraz Tamary Wiszniewskiej, którą podobno zaangażował do Universalu.



Zdjęcie nasze przedstawia zespół kierowniczy i artystyczny w momencie prac nad „Ordynatem Michorowskim". Widzimy na nim dyr. Cheevre Covdina (X), Antoniego Szczerbę (siedzi uśmiechnięty w fotelu), za nim Franciszka Brodniewicza, na którym wspiera się Ćwiklińska; dalej — Tamarę Wiszniewską, przy niej reżysera Szaro, obok niego siedzi dyrektor produkcji Mikosz, następnie: dyr. Universalu w Warszawie, p. Lewy, operator inż. S. Steinwurzel oraz szef propagandy Universalu, p. Jesiotr.

„Ordynat Michorowski", produkcji „Femika-Film", ukaże się w Święta na ekranach Polski.

Z cyklu: „WIELKIE KARIERY"

Rzpoczynamy cykl krótkich szkiców biograficznych. Nie będziemy pisać o Poli Negri lub Kiepurze. To temat wałkowany od szeregu lat. Znamy ich życie nawylot ze szpalt dzienników, tygodników, miesięczników itd. Znamy ich zarobki, życie osobiste, pochodzenie, stosunki rodzinne. Pomówmy o tych, których widzimy częściej, a wiemy o nich właściwie b. mało. Na pierwszy ogień idzie „królowa piosenki sentymentalnej":

HANKA ORDONÓWNA

Bywalcy teatralni z roku 1918-go pamiętają maleńki kobaret artystyczno-literacki, kierowany przez p. Julicza na Marszałkowskiej 118, „Sfinks". Wtedy to tańczyła tam młodziutka 14 letnia baletniczka ze szkoły baletowej Mania Pietruszyńska. Ubogie dziewczątko, niemal z proletariatu, miało ambicje i rozmach życiowy fantastyczny. Tańczyła z wdziękiem i temperamentem, ale aspiracje jej szły w innym kierunku. Chciała być piosenkarką. Ale jak tu marzyć mogła o tym obok takiej Niuty Bolskiej, dla której sam Włast pisywał szlagiery, a nawet kierowniczka muzyczna teatrzyku Mira Wereszczyńska („Te róże pachnące") gdzie tam małej Mani marzyć o takiej karierze, ale los pozornie utrudniający na każdym kroku życie młodziutkiej aktoreczki szedł jej też na rękę. Jakiś kaprys jakiejś gwiazdy i już mała Mania jest Hanką Ordonówną i śpiewa w tymże „Sfinksie", ale krótko. Jedzie do Lublina na stanowisko, a tam załamanie. Zamach samobójczy, kula tkwi w zwojach mózgowych, mała Haneczka wraca do życia i do Warszawy. Już w „Mirażu" ma poważną pozycję, po likwidacji tego teatrzyku wyjeżdża do Lwowa i Krakowa, jest tam gwiazdą kabaretu i operetki. Gdy wraca do Warszawy jako sławna już vedetta, porywa ją najpierw „Stańczyk". gdzie Ordonka imponuje ekspresją dramatyczną w piosence o córce popa, a potem „Qui pro quo", teren największych sukcesów popularnej i drogo opłaconej gwiazdy. Własne wieczory (czy poranki) piosenek, gromadzą tłumy w Warszawie i na prowincji. Ordonka jest u szczytu powodzenia artystycznego, materialnego i u szczytów kariery osobistej: wychodzi za mąż za hr. Tyszkiewicza.

Ale każde najświetniejsze nawet życie, ma swoje złe chwile: Hanka przyjmuje propozycję dyr. Własta i w cyrku kreuje „Gwiazdę areny". I artystycznie i kasowo impreza leży, po raz pierwszy w swej karierze Hanka nie ciągnie tłumu. Zła passa trwa. Niefortunna impreza własna na Karowej, zachwiała popularność artystki dotąd bezkrytycznie uwielbianej.

A potem moment jaśniejszy. Rewia w lokalu „Cyrulika" znów pociąga i interesuje nazwiskiem i sukcesem „odrodzonej" Ordonki.

Gorzej było z filmem, gdyż mimo wyraźnego podobieństwa do Brygidy Helm, Ordonka nie okazała się fotogeniczną. Ale to może tylko wina naszych specjalnych warunków pracy filmowej. Może zagranicą wykorzystanoby tę twarz niebanalną, niemal niesamowitą...

Tournee po Palestynie, występy w Berlinie, Wiedniu itd., były jakby wstępem do światowej kariery „polskiej Yvetty Gilbert". Nie starczyło Hance tchu i wytrwania, a może poprostu czasu na dostateczne opanowanie języków. Bo chyba o brak ambicji posądzać nie można tej, która z małej biduli, baletniczki wyrosła na wielką pieśniarkę, zarabiającą własnymi recitalami kilkanaście tysięcy za występ w dobrych czasach „prosperity".

Yvetta Gilbert ma 80 lat. Jeszcze śpiewa. Ordonka mogłaby być jej wnuczką — kilkanaście lat temu była prawie dzieckiem.

W tym wieku Marlena Dietrich wypłynęła na powierzchnię sławy światowej. Ileż jeszcze do zrobienia ma Hanka Ordonówna?

Elf.

KRYSTYNA MIKULSKA.

„WYIMAGINOWANY WYWIAD"

— Widzę, że pan zawzięcie studjuje dział, „Co grają w kinach". Jest co ciekawego?

— Ciekawego dużo, proszę pani — odparł uprzejmie — tylko okazji do obejrzenia wszystkiego brak. Pracuję wieczorami — dodał w formie wyjaśnienia.

— Zbliżają się święta, będzie pan miał więcej czasu.

— Niby tak! — zgodził się — ale zawsze coś wypadnie w czasie tych paru dni i stanie na przeszkodzie człowiekowi.

— Lubi pan kino?

— Czy lubię kino? — Pewnie, że lubię. To jedyna rozrywka dostepna dla proletariusza — uśmiechnął się smutnie.

— Nie zgodzę się z panem. Teatr ostatnimi czasy, czyni wszystko, aby stać się dostępnym dla każdego. Bilety są znacznie tańsze, są rozmaite ulgi dla związków, dla zrzeszeń...

— I chleb jest znacznie tańszy — powiedział wolno — a nie każdy ma go dosyć.

— I to kiedyś zmienić sie musi. Dużo wysiłków poświęca Państwo w tym celu.

Podniósł na mnie uważnie oczy uświadomionego klasowo człowieka, który wiele rzeczy przeżył, przemyślał i dawno pozostawił za sobą.

— Ano tak! Miejmy nadzieje, że kiedyś wszystko się odmieni. Póki co — trudna rada. Weźmy teatr. Pani mówi — bilety tańsze — owszem, zgoda — tańsze! Przypuśćmy, że stać mnie na bilet... Ile czasu pani potrzeba na wybranie się do teatru?

— Niewiele! Jestem także proletariuszka i muszę się ograniczać. A poza tym do fryzjera nie chodzę, szminek nie używam — wystarczy kwadrans — jestem gotowa.

— Niby rekord, co? — uśmiechnął się leciutko. — Ja muszę po powrocie z pracy dwadzieścia minut zużyć na to, żeby domyć twarz i ręce... Później jeszcze trzeba się przebrać. Pani rozumie? — Do teatru trzeba zawsze jakoś inaczej. W kinie nikt nie patrzy, jak człowiek wygląda.

— A często pan bywa w kinie?

Potrząsnął głową. — Raz w tygodniu przy święcie lub niedzieli.

— Jakież filmy pan wybiera?

— To zależy, proszę pani... Nie wiem co pani ma na myśli?

— Chciałam wiedzieć, zagraniczne, czy krajowe?

— Te, które wydają mi się dobre.

— No to jest bardzo ogólnikowa odpowiedź. Chciałabym aby pan był szczerszy. Po czym pan poznaje dobry film, jeśli go pan jeszcze nie widział?

— Czyta się przecież o nich i słyszy, wywnioskować zawsze można co warte.

— A czy pan widział teraz jakiś film polski?

— Owszem, widziałem „Wierną rzekę".

— No i co? Jakie wrażenie pozostawił na panu?

— Widzi pani, to jest tak: film jako film jest dobry, zdjęcia dobre, gra dobra... Ale dla tego kto czytał dzieła Żeromskiego... coś tam w tej „Wiernej rzece" z filmu nie sztymuje. Czegoś brak...

— Oczywiście, że w szczupłych ramach filmu trudno umieścić całe dzieło, są wiec braki... O to panu chodzi?

— E, nie! Może ja nie potrafię tak tego wyjaśnić, jak to czuję i rozumiem... ja chciałem powiedzieć,, że tam są braki i coś obce, coś nie z książki, zupełnie inne.

— Jednym słowem nie podobał się panu film?

— Podobać się podobał, tylko wolałbym, żeby się nie nazywał „Wierna rzeka", a jakoś inaczej. Bo to widzi pani, kiedy człowiek czyta książkę, to widzi wszystko, tak jak mu autor pokazuje, a później skusi się, idzie do kina i wszystko mu jakoś inaczej sie wydaje.

— A „Barbara Radziwiłłówna"?

— Nie widziałem.

— Niech pan postara się zobaczyć.

— Oglądałem fotosy. Bogata wystawa.

— Ten film kosztował wiele pracy...

— Widziała go pani?

— Owszem!

— No i co?

— Widzi pan... nim panu odpowiem na to pytanie, powiem jedno: jestem jakby tym żołnierzem, który zawsze gotów bronić swego skrawka ziemi, choćby go i licho żywił, bo to własne, swoje i z czasem będzie lepsze niż jest, urodzajniejsze. Tym razem jednak nie mam powodu do żalu. Film naprawdę jest dobry, wart obejrzenia i pogratulowania twórcom.

— Może wreszcie dorównamy zagranicy... — wzdycha mój towarzysz

— Myśli pan, że tam trzeba szukać wzoru?

— Wzoru niekoniecznie. Ale od nauki nigdy nie trzeba się uchylać — mówi z powagą.

— Czasem nie można korzystać z nauki, bo jest za kosztowna.

— I to racja. Ale trzeba jakoś pogodzić jedno z drugim i wykorzystać co się da.

— Gdzieżby według pana należało udać się po naukę?

— Świat jest szeroki — uśmiecha się zagadkowo mój rozmówca. — Cóż ja? biedny, prosty robotnik... Nikt mnie o zdanie nie spyta... Sam wiem nie wiele... Chciałbym tylko doczekać powstania takiego filmu polskiego o takiej sile, jak „Bezdomni", żeby pozostawił takie same niezatarte wrażenie. Widziałem go tyle lat wstecz, a do dnia dzisiejszego każdą twarz pamiętam... To był film, pani! — podkreśla z uznaniem — Tam była moc!

— Rzeczywiście wspaniały film, jeśli odrzucimy czerwoną propagandę.

— Co mi tam propaganda! — obrusza się blondyn. — Gra tych chłopców... Pamięta pani... Mustafa... Ten kałmuk, czy inny tatar... To mi był artysta z bożej łaski... Pani wie? Jak go zobaczyłem w ostatniej scenie kiedy go wiozą zamordowanego na parowozie — zapłakałem, tak mnie to wzięło. Najlepiej jego pamiętam.

— Ja też zapamiętałam sobie z tamtego filmu ten moment.

— Szkoda, że u nas takiego, jak on artysty nie ma — mówi do siebie cicho.

— Są napewno. Trzeba tylko rozejrzeć się trochę. Nie możemy narzekać na brak dobrych artystów.

Towarzysz mój ożywia się.

— Zawsze marzyłem, żeby zobaczyć dobry film polski. Taki wie pani bez słodziutkiego zakończenia, bez manicurowanych paznokietków i ondulowanych główek... Mocny, polski film, jak codzienne życie... Żeby pokazali je takie, jak ono jest naprawdę... Czemu nikt nie napisze takiego scenariusza, pani, co?

— Uczymy się przecież — mówię cicho — sam pan powiedział, że musimy się uczyć. Na pańską tęsknotę też czas przyjdzie... Nie za miesiąc, to za rok... zjawi się ktoś, kto napisze dobry scenariusz i każe mu ożyć na ekranie... Trzeba tylko dobrej woli i cierpliwości... I nie wątpić!

— Żebym to ja sam tak pisać umiał — wzdycha ciężko mój towarzysz. — Jabym miał temat nie do jednego filmu.

— O czym pan by pisał?

— Pisałbym o tych wszystkich walkach z wczoraj i dziś... O tym, jak wykuwaliśmy sobie schodki kamienne do przyszłości pewnej... O tym jakiego jutra pragnie Polska, czego się spodziewa i na co czeka. Pokazałbym całemu światu, jakich my mamy bohaterów przy rozmaitych warsztatach, którzy nieustępliwie idą naprzód... Pisałbym i o tym, co spoczęło w ziemi i co jest na ziemi... Mało to tematu, co?

— Jednym słowem film — propaganda?

— A niechby i propaganda — żeby tylko było dobre, żeby uczyło i pomagało trzymać się w kupie.

— Cóż, doskonała myśl. Niech pan siada i pisze.

— E, gdzie mi tam! Listu porządnie nie napiszę. Gdzieś mi słowa pouciekają zawsze. Ja tylko widzieć potrafię wszystko, ale opowiedzieć ani opisać nie mogę.

— A szkoda! Byłby może z pana wielki „talent".

— Może i byłby — mówi odwracając z westchnieniem głowę.

— Nigdy nie próbował pan co napisać?

— Próbowałem, pani! Wiele razy próbowałem. Ot, nieraz człowiek wróci do domu z jakiegoś kina, zobaczy film, to i tamto mu się w nim nie widzi, powinno być inaczej, myśli sobie, zeźli się, siądzie i próbuje coś stworzyć, a tu ani rusz. Tak i tak — myślisz, a przyjdzie na papier to wyłożyć — żadnym sposobem nie idzie. Nie potrafisz, choćbyś duszę w palce przelał.

— Tak pan to wszystko doskonale rozumie, a nie potrafi pan usprawiedliwić błędów cudzych. Tamci tak samo, jak pan, inaczej wszystko czują, a inaczej im w rzeczywistości wychodzi.

Słuchał, spoglądając na mnie z boku.

— Może pani ma i rację — rzekł wreszcie po namyśle.

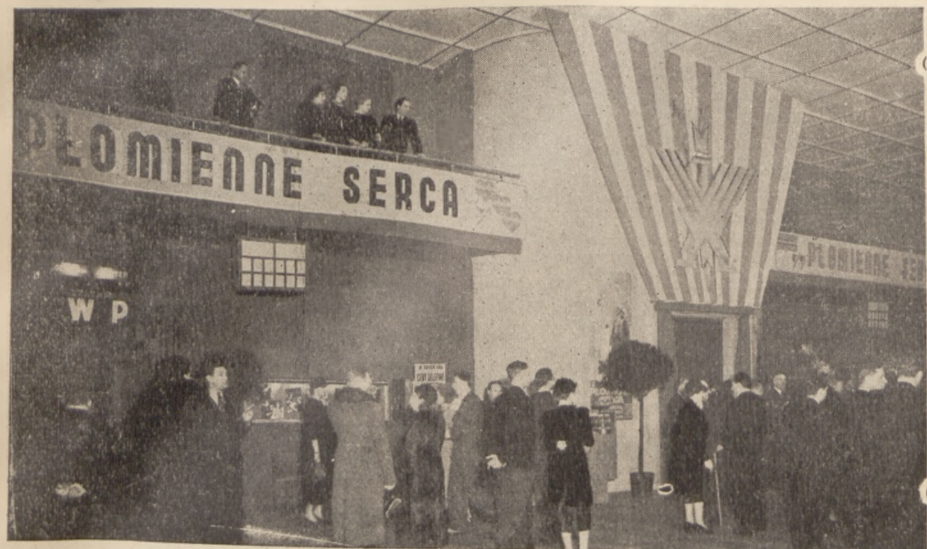
— Ale poco w takim razie zabierają się do tego, skoro nie potrafią?

— Pan przecież tak samo czynił wielokrotnie próby, z tą różnicą, że pańskie wysiłki zawsze pozostały z jednakowym skutkiem, a oni ciągle się doskonalą.

— Ładnie to pani powiedziała o nich. „Ciągle się doskonalą"... Żeby to chociaż pożytek przyniosło dla nas.

Pożegnaliśmy się mocnym uściskiem dłoni. Szary człowiek znikł w mroku nocy.

Galowe przedstawienie „PŁOMIENNYCH SERC"



W piątek, 12 lutego, odbyło się w Warszawie w kinie „Bałtyk" galowe przedstawienie filmu „Płomienne serca", produkcji Polskiej Spółki Filmowej. Na długo przed rozpoczęciem przedstawienia gromadzili się w pięknie udekorowanym przedsionku kina zaproszeni goście.



Wśród reprezentantów dyplomacji zauważyliśmy m. in. ambasadora angielskiego Kennarda (po lewej), posła Finlandii dr. Idmana (po prawej) i (za nim) ambasadora japońskiego Nobubumi Ito.



Wspaniała dekoracja ekranu w kinie „Bałtyk" w dniu galowego przedstawienia «Płomiennych serc».



Galowe przedstawienie «Płomiennych serc» zaszczycili swą obecnością (od lewej:) generał Regulski — jako przedstawiciel wojska, marszałek Senatu Prystor i J. E. ks. biskup polowy Gawlina.

W piątek 12 lutego odbyło się w Warszawie w kinie «Bałtyk» specjalne galowe przedstawienie filmu «Płomienne serca» produkcji Polskiej Spółki Filmowej. Przedstawienie to stało się wydarzeniem dnia i zgromadziło w pięknie udekorowanej sali kina przedstawicieli świata rządowego, wojskowego, politycznego duchowieństwa, dyplomacji, sfer gospodarczych i filmowych stolicy, jak również licznych reprezentantów prasy warszawskiej.

Przedstawienie poprzedziła część muzyczna, wykonana przez członków orkiestry Filharmonii warszawskiej pod dyrekcją p. Ozimińskiego.

«Płomienne serca» spotkały się z niebywale entuzjastycznym przyjęciem. Film zachwycił wszystkich obecnych, a szereg scen nagrodzono żywiołowymi oklaskami w nagrodę za ich wysoce wartościowe ujęcie. Tak było w chwili wyświetlania imponujących scen pożaru wsi, kapitalnych scen balowych, jak również kilka fragmentów o wysokim napięciu dramatycznym, lub komediowym. W końcowej części «Płomiennych serc» rozległy się jeszcze bardziej entuzjastyczne oklaski, kiedy na ekranie pojawiły się postacie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i Pana Marszałka Śmigłego-Rydza.

Całe przedstawienie galowe odbyło się w niespotykanym dotychczas podniosłym nastroju i w rezultacie zmieniło się w olbrzymi sukces «Płomiennych serc», Polskiej Spółki Filmowej, reżysera Romualda Gantkowskiego i całego zespołu artystycznego i technicznego, słowem: sala kina «Bałtyk» stała się świadkiem triumfu wielkiego filmu krajowej produkcji, filmu, który siłą swego tematu i artystycznego wykonania zdobędzie niewątpliwie uznanie całej Polski.

«Płomienne serca» ukażą się wkrótce jednocześnie na ekranach stołecznych kinoteatrów «Bałtyk» i «Europa».



Fragment sali kina «Bałtyk» w dniu galowego przedstawienia «Płomiennych serc», na które przybyli przedstawiciele rządu, wojska, duchowieństwa, świata politycznego, gospodarczego i kulturalnego Warszawy.



W jednej z loż zgromadzili się artyści, grający w «Płomiennych sercach». Stoją od lewej: Mieczysław Milecki, Elżbieta Barszczewska, Mieczysław Cybulski, Zdzisław Karczewski i Józef Kempa. Siedzą: (pierwsza od lewej) Helena Zahorska i (1-sza od prawej) Halina Kamińska.

KINEMATOGRAFIA NA MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWIE W PARYŻU

W dziale filmowym tegorocznej wystawy paryskiej przewidziany jest cały szereg konkursów. Największe zainteresowanie wzbudza konkurs na najlepszy film autorski z nagrodą 10.000 fr. i konkurs najnowszych filmów francuskich krótko i długometrażowych z nagrodami w wysokości 25.000 i 50.000 fr. Ministerstwo Spraw Zagranicznych zamierza również zwrócić się do wszystkich krajów, w których istnieje produkcja filmowa, aby przysłały na wystawę swoje reprezentacyjne filmy.

Zarząd wystawy postarał się o przygotowanie całego szeregu filmów specjalnych, jak np. turystycznych, reklamowych i propagandowych, oraz filmów ilustrujących rozwój przemysłu francuskiego.

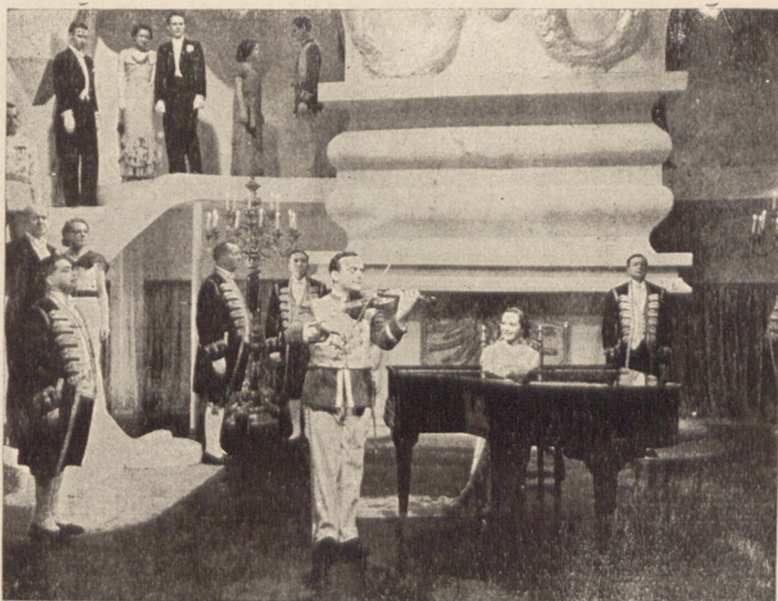
W dziale filmów turystycznych zaprezentowane będą reportaże z prowincji i kolonii francuskich. Pięć filmów tego rodzaju zostało już nakręconych, a mianowicie: „Kraj Basków i Béaru" reż. Henri Regnaud, „Szampania" reż. Elyane Tayor, „Burgundia" reż. Jean Epstein, „Flandria" reż. Maurice Mariaud, „Aunis i Saintonge" reż. Pierre Lafond. Cały szereg innych, jak np. „Alzacja i Lotaryngia", „Bretania" i t. d. jest już na ukończeniu.

Wśród filmów reklamowo-propagandowych wysuwa się na czoło film p. t. „Rekordy 1937", reż. Jean Choux; który da syntezę rekordów francuskich w dziedzinie przemysłowej, handlowej, sportowej, intelektualnej artystycznej i naukowej. Zademonstrowane będą również różnorodne dzienniki filmowe, tygodniki aktualności i reportaże z terenu całej wystawy.

W dziale filmów, poświęconych produkcji przemysłowej największe zainteresowanie wzbudzi prawdopodobnie wielki film, poświęcony ubezpieczeniom społecznym i bezpieczeństwu pracy w przemyśle francuskim.

Wielką sensację wzbudziła zapowiedź, że sławny reż. Abel Gance zrealizuje specjalnie na wystawę film p. t. „Paryż".

„PRZY KOMINKU"



Niezapomniany ALFRED RODE z filmu „Romanse Cygańskie". Wkrótce podziwiać go będziemy w filmie „PRZY KOMINKU" w kinie „Światowid" w Warszawie, oraz na ekranach całej Polski.

Fot. „Erfilm".

DLA CIEBIE PANI!

Minął karnawał. Zbliża się wiosna. Tyle trosk i kłopotów związanych z nieprzewidzianymi nigdy kaprysami mody, bezlitosnej w swej zmienności. Ale ta zmienność jest pożądana dla pięknych pań, lubujących się w każdej nowacji, w każdym odskoku od tego, co było wczoraj. Wiosna ma swoje prawa. Jej stubarwna kwiecistość daje tyle możliwości! Więc wszelkie — pozornie najjaskrawsze zestawienia barw — dozwolone, wzorzystość tkanin wskazana, bo przecież kobierce kwiatów dyktują wzory, śmiałe, a jakże naturalne. Zwłaszcza w zestawieniu z zielenią, bo przecież każdy kwiat bez względu na jego kolor, przyroda sama zharmonizowała z liśćmi... Piękne panie — bez narażania się na zarzut „zbyt odważnego smaku" — mogą tej wiosny zmienić się w żywe kwiaty...

Zanim jednak ta wymarzona wiosna w klimacie naszym wątpliwa, wyczekiwana raczej, niż rzeczywista, pozwoli na kwiecistą wzorzystość (w tym naszym klimacie raczej lato realizuje sen o stubarwnej gamie motylo — tęczowych „skrzydełek")—królować będzie przeromowy kostium, pozwalający na rozląkę z futrem, które już w marcu staje się czymś uprzykrzonym dla pięknej pani. Linia kostiumu tej wiosny pozwala na pewną „luźność" skracając zarazem spódnicę, naturalnie w sposób wybitnie umiarkowany.

A kapelusze?

I tutaj odwaga kolorów królować będzie bezapelacyjnie. Prócz malańkich, barwnych a młodziutkich małych muszelek, małych „drobiażdżików" pojawią się i większe — zależne od stopnia „uroczystości" toalety. Może zmierzamy ku wielkim „Rembrantom"? Może ku koszmarnym dla kinowego widza „bocianim gniazdom"? Kto wie... Moda rządzi się fantazją, kaprysem despotycznym i bezwzględnym, jak piękna kobieta.

V.



Model kostiumu wiosennego.

r. k. o.



Oryg. kapelusz 1937 r.

r. k. o.

KRONIKA

AMERYKA

+ W r. 1936 sprowadzono o 16% więcej filmów zagranicznych, niż w roku poprzednim.

+ Oto 7 filmów amerykańskich, wyprodukowanych w r. 1936, które przyniosły producentom największe zyski: „Dzisiejsze czasy" (United Artists), „San Francisco" (M. G. M.), „Lekkoduch" R. K.O., „Król Kobiet" (M. G. M.), „Mały buntownik" (Fox), „Rose Marie" (M. G. M.) i „Pod dwiema flagami" (Fox).

+ Wytwórnia RKO zaangażowała Oskara Straussa do skomponowania muzyki w dwóch nowych filmach, w których w roli głównej wystąpi Bobby Breen.

FRANCJA

+ Dwaj najsłynniejsi reżyserowie francuscy René Clair i Jean Renoir odznaczeni zostali Legią Honorową.

+ „Comité International pour la Diffusion Artistique et Litteraire par le Cinématographe" (Cidalc) przyznał na ostatnim swoim posiedzeniu złoty medal na r. 1937 filmowi Ericha Pommera „Niewidzialna armada".

Z. S. S. R.

+ W ramach produkcji filmowej 1936—1937 nakręcone zostaną m. in. następujące filmy: „Najszczęśliwsi" — film reż. Pudowkina, poświęcony lotnictwu sowieckiemu; „Begin Long" w reżyserii Eisensteina; „Powrót Maksyma" (II część „Miłości Maksyma"); „Piotr Wielki" i „Gwiazdy Paryża" w reżyserii Rochal'a.

+ Ukończona została wielka epopea filmowa „Ojczyzna woła".

„Pierwsza miłość Thei Bianchi"

Romans filmowy Leopolda Brodzińskiego

OD REDAKCJI:

Autor „Fauna z Hollywood" Leopold Brodziński, napisał specjalnie dla naszego pisma romans p. t. „Pierwsza miłość Thei Bianchi". Czytelnicy nie powinni doszukiwać się w tym utworze żadnych autentyczności, znanych postaci i t. d. A jednak „Pierwsza miłość Thei Bianchi" nie jest wytworem li tylko fantazji autorskiej, życie podyktowało Brodzińskiemu tę powieść, bohaterką której jest piękna warszawianka. Niestety, polskie pochodzenie sławnej artystki nie jest znane nawet najbliższemu jej otoczeniu...

Wszyscy, którzy czytali „Fauna z Hollywood", napewno zainteresują się tym nowym reportażem psychologicznym.



Leopold Brodziński

THEA BIANCHI SŁAWNA ŚPIEWACZKA.

Spojrzała na afisz, czerwone litery którego głosiły: „Dorothea Bianchi". To imię i nazwisko wydało się jej nagle obce, nieznane, jakby pierwszy raz w życiu widziane. A przecież ile to już lat...

Thea nie lubiła arytmetyki od najwcześniejszych lat swego dzieciństwa. Zawsze myliła się w tabliczce mnożenia i myli się jeszcze teraz w rachunkach. Potrafi z talentem swoim zarobić zawrotne, astronomiczne niemal sumy, a w mnożeniu i dzieleniu do dziś dnia popełnia śmieszne omyłki. Lata jednak liczą się jakoś łatwiej... Więc ileż to już tych lat minęło od chwili, w której zbieg okoliczności „stworzył" to "trochę pompatyczne, nieco pretensjonalne „nomme de guerre", które potem obiegło całą Europę w tryumfalnym pochodzie sukcesów i sławy? Miała lat dwanaście, gdy drażnić ją zaczęło imię chrzestne. Bo któż to słyszał mieć na imię Dorota?... Dorcia! Koleżanki często drwiły z niej właśnie dlatego, że owa „Dorcia" — i słusznie — wydała się im śmieszna. Więc już w czternastym roku życia postanowiła „wystylizować" imię, brzmiące staropanieńsko i niedość w wymaganiu pensjonarskie... eleganckie: Dorota... Dorotea... Tea... O, to zupełnie co innego... W czwartej klasie została Teą, a później, po latach... o, znacznie później, zmieniły pisownię owej „Tei" Tea Białczyńska... „Panna Tea Białczyńska nagradza wypracowanie inteligentnie i dowcipnie" powiedział w klasie piątej profesor, którego wszystkie dziewczęta zaszczycały masowym „uwielbieniem". Pierwszy raz nazwano ją tego dnia oficjalnie „Teą", bo — mimo wszystko — w dzienniku klasowym musiała być stale „Dorotą". Ale na zeszytach kaligrafowała starannie to nowe imię, brzmiące zdaniem całej klasy bardzo „ciekawie".

W piątej klasie panna Tea zaśpiewała na koncercie szkolnym. Wszyscy oklaskiwali, winszowali, a niektórzy radzili poważne studia. Przełożona tolerancyjnym uśmiechem, tym dobrze znanym tej konwencjonalnym wyrazem zgody, przyjęła owację. Odtąd Tea Białczyńska stała się „gwiazdą" nietylko klasy, ale całej pensji. Kształciła się w śpiewie, mówiła przyciszonym głosem, bo „trzeba szanować struny głosowe", bywała w Filharmonii i Operze, ale śpiewać na koncertach szkolnych przestała. Profesor nie pozwalał! Ten zakaz po sukcesie, osiągniętym na „debiucie", otoczył Teę nimbem jakiejś ponętnej tajemniczości, co zwiększyło szacunek koleżanek, a nawet nauczycielkom trochę imponowało.

W ostatnich miesiącach klasy szóstej Tea wystąpiła na „poranku" w Filharmonii. Po dwuch latach poważnych studiów zaśpiewała arie z „Traviatty" i „Rigoletta". W skromnej białej sukience, z włosami zaczesanymi do góry, bez odrobiny pudru i szminki wyglądała na lat piętnaście, choć właśnie zaczęła osmnasty. Śpiewała bez tremy, która po kilku latach kariery dało jej późniejsze poczucie odpowiedzialności. Srebrzysty sopran dzwonił czarująco, a efektowne „ruliady" trylów, staccat, gram i innych koloraturowych biegników wzbudziły zachwyt publiczności. Prasa powitała debiut „młodziutkiej gwiazdy" gorąco. A po koncercie zjawił się w pokoju artystów jakiś nieciekawy pan, przedstawił się Tei, a potem dość długo konferował z ojcem... Pan mecenas Białczyński był wdowcem. Tea nie pamiętała matki. Wychowywała ją siostra ojca, stara panna, ciotka Niunia (a właściwie Eugenia), trochę ułomna, poczciwa istota bez żadnych ambicji i nadziei.

Od paru lat finanse pana mecenasa zachwiały się nieco, ale jeszcze starczało na życie dość dostatnie i na kosztowną naukę śpiewu, muzyki i języków. Mimo to coraz częściej mówiło się w domu o ciężkich czasach, o zobowiązaniach, wekslach. Tea nie rozumiała tego, nie znała wartości pieniądza. To też, gdy po koncercie powiedział jej ojciec, że jesienią wyjeżdża do Włoch, że przerywa naukę na pensji — zdumiała się i strwożyła nieco. Do Włoch? Sama? Nie. Pojechała z nią ciocia Niunia, świetnie władająca językiem Leonarda da Vinci. Dopiero po roku, gdy przyszła do Mediolanu wiadomość o śmierci mecenasa, dowiedziała się Tea, że ów pan, który tak długo gawędził z ojcem w Filharmonii, był znanym impresarem, że on łożył na studia zagraniczne przyszłej primadonny i że ona, Tea Białczyńska, po okończeniu tych studiów staje się niewolnicą paryskiego „menagera". Przypomniała sobie jakiś dokument, na którym złożyła swój podpis w parę dni po koncercie. Zrozumiała wszystko... Na pogrzeb ojca nie pojechała. Ciocia wyperswadowała jej tę smutną konieczność: ojciec ożenił się po raz drugi, ta „osoba" zawładnęła mieszkaniem, biżuterią... Spotkanie byłoby przykre, lepiej go uniknąć. No i pieniądze... Pan Izaak Bergman (tak się zwał pan z Paryża) płacił lekcje, pensjonat i na ręce ciotki Niuni przysyłał nieznaczną kwotę na wszystkie niemal inne wydatki.

Tea, pochłonięta śpiewem, nie zauważała, jak ubożała jej garderoba, jak coraz trudniej było ubrać się na koncert, czy operę, cnoc chodziły z ciotką na najtańsze miejsca galerii... Nie zauważała też, że uroda jej rośnie coraz większe wrażenie, że niejednokrotnie przechodnie uliczni zatrzymywali się na widok tej nieskazitelnie pięknej, smukłej dziewczyny o popielatych włosach, wysokim czole, oczach barwy zdecydowanie szmaragdowej.

Skończyła lat dwadzieścia i... partię „Traviatty". Opracowała ją z „maestro", który był niegdyś głośnym śpiewakiem operowym. Nauczył ją pięknie chodzić, poruszać się w kostiumach, sprawionych przez pana Izaaka, a zaprojektowanych przez znanego malarza. Tea opanowała sztukę „bel canto'a" w sposób idealny. Odbyła audycja przyniosła jej wiele moralnego zadowolenia, a po tej audycji zjawił się pan Bergman i zawiadomił swą „pupilkę", że za dwa tygodnie wyjadą razem z Mediolanu do Grecji, gdzie w teatrze Politeama odbędzie się debiut oficjalny panny Thei „Bianchi" (tak postanowił pan Izaak) w operze „Traviatta"...

— Po debiucie pogadamy — zakończył rozmowę, prowadzoną grzecznie, z rezerwą.

Ale po debiucie rozmowa przybrała inny charakter. Zjawił się w hotelu, gdzie debiutantka zamieszkała z ciotką, jakiś nowy „menager" i zaproponował... likwidację stosunku z panem Bergmanem. Rozpoczął się ordynarny nieco targ, w rezultacie którego pan Izaak otrzymał czek na jakąś sumę i odszedł... na zawsze.

A Thea Bianchi, podpisawszy umowę z przedstawicielem wielkiej agencji teatralno - koncertowej, mocą której 50% swoich honorariów odstępować musiała nowopasowana diva owej opiekuńczej imprezie, udała się z ciotką Niunią do Monte - Carlo, jako liryczno—koloraturowa primadonna włoskiego „stagione" operowego. Narazie śpiewała tylko Traviattę i Gildę, jako partnerka znakomitego barytona, dobiegającego kresu swej sławy, ale jeszcze opłacanego hojnie i młodego, bardzo obiecującego tenora, który już nosił w protfelu kontrakt na Amerykę i Australię.

Podobno ten fantastyczny początek kariery zawdzięczać miała Tea kaprysowi słynnej primadonny, dążącej do zlikwidowania długotrwałego flirtu z niewdzięcznym tenorem. Młody włoch miał dość „protekcji" podstarzałej gwiazdy, robił jej afronty na scenie i za kulisami, a pobałzakowska diva, zainteresowawszy się jakimś nowym adeptem, wolała zostać z nim w Mediolanie i śledzić jego... studia. To też Tea (dziś już „Thea"), której głos i uroda robiły sensację, ujnana została oficjalnie za „firmę", skoro w pełnym sezonie dano jej pierwsze partie w Monte Carlo i bardzo wysokie honorarium. Połowę zabierała agencja ale i ta druga połowa była jeszcze nie do pogardzenia. Po Monte Carlo przyszedł kontrakt do Paryża i tam poznała „la bella Bianchi" przyszłego swego małżonka, o którym zresztą dziś już nie myślała nigdy, wykreśliwszy go z pamięci bez trudu i żalu.

Pan Gaston de Maillard, 54-letni rentier, wytworny i miły ex-fabrykant perfum, za pośrednictwem cioci Niuni przekonał Theę, że trzeba zlikwidować stosunek z agencją, umiejętnie się utrwalić pozycję towarzyską. Thea podpisała trzyletnią umowę z „Operą Comique" w Paryżu i jako małżonka pana deMaillard stała się atrakcją najświetniejszych salonów „stolicy Europy". Jej życie osobiste było tak obojętne, tak żądne a sukcesy artystyczne stały się raczej dekoracją niż treścią. Instynkt samozachowawczy, instynkt urodzonej śpiewaczki kazał nie zaniedbywać głosu i kultywować technikę wokalną na zimno, bez dawnego entuzjazmu. Głosem tym zachwycano się zawsze, jak i urodą pięknej primadonny. Czasami tylko ośmielił się jakiś młody krytyk trzeciorzędnego, niepopularnego pisemka zauważyć, że Traviatta, Gilda, Lacme i Manon srebrzystogłosej Thei Bianchi wydaje się zbyt chłodna, zbyt konwencjonalna, zbyt zdawkowa w wyrazie uczuć...

I Thea w głębi duszy przyznawała słuszność tym zarzutom. Uczucia bohaterek, losy których wyśpiewywała głosem pięknością przedziwnej, niewiele ją obchodziły. Nie współczuła tym sentymentalnym heroinom, bo była obca i daleka wszelkim konfliktom miłosnym. Erotyzm? Stosunek z pięćdziesięcioparoletnim panem de Maillard był obowiązkiem, do którego potrafiła jako tako się przyzwyczaić. Niczem więcej.

(D. c. n.).

TEATR

3...6...9

Trzy po trzy.

I tak chyba do 9 przedstawień nie dojdzie, a jeśli dojdzie, będzie to dowodem, że nic innego w teatrze Nowym nie da się narazie zmontować.



WOJCIECH WOJTECKI
utalentowany amant teatru Malickiej, tytułowy bohater komedii „Zamieszaj". gra młodego Michorowskiego w filmie „Ordynat Michorowski", wnosząc kulturę, elegancję i szczery artyzm.

W ATENEUM — dobre przedstawienie „Ludzi na krze". Całość przemyślana dobrze zmontowana, żywa. Może tylko trochę przekrzyczana (lubi to p. Perzanowska, zresztą solidny i pomysłowy reżyser). Jeżeli chodzi o poszczególne siły, to prócz Jaracza, który nawet z roli trochę kłócącej się z jego wnętrzem i jego fizycznością, wyszedł dzielnie i...ciekawie, trzeba pochwalić znów Perzanowską, jako aktorkę. Może bardziej, niż jako reżysera w tym wypadku. Bo, choć nadała sztuce zasadniczy ton pewnej krzykliwości, jako wykonawczyni była dyskretna i stonowana. P-ni Kryńska zawsze przystojna. P-ni Bonacka gra inteligentnie i „po ludzku". P. Pośpiełowski zupełnie bez zarzutu. Pan Daniłowicz tym razem wyskakiwał z ogólnego tła, histeryzował, szarpał się przesadnie i... niepotrzebnie. Ten zdolny aktor miał tyle ciekawych ról, a ostatnio zgrywa się w sposób niegodny odtwórcy niezapomnianej roli w „Gołębim sercu". Trzeba się przełamać i wrócić do dawnej formy.

Ksawery Janicki.

ZAPOWIEDZIANE „FIESCO" na scenie teatru Narodowego odwołano jakoby z powodu choroby jednego z wykonawców. Generalna próba w dniu oznaczonej premiery trwała od 7-ej rano. Podobno kostiumy nie były gotowe.

Notatka powyższa powinna mieć tytuł: „Jak nie należy prowadzić teatru".

NARESZCIE PREMIERA W OPERZE! pp. BERDIAJEW i LEONTIEW.

Dyr. Mazaraki po 4 miesiącach wznowień i młócenia repertuaru „żelaznego" dał premierę. Niestety, tylko baletową. Bo „Legenda o Józefie", choć dzieło Ryszarda Straussa, to utwór znacznie od „Salome" i „Elektry" mniej wartościowy.

Jako widowisko premiera nie udała się. Dekoracje i kostiumy b. bogate, ale robota reżysersko—choreograficzna raczej chybiona. Pana Leontjewa, jako realizatora, a przede wszystkim jako wykonawcę, nie uratowały nawet złote litery, którymi jego nazwisko dyrekcja wydrukowała na premierowych afiszach. W szeregu scen był p. L. raczej śmieszny, a jego warunki zewnętrzne nie pozwalają na obnażanie się, o czym baletmistrzowi powinno powiedzieć lustro. Partnerką była p. Szatkowska, dobra tancerka, na partnerkę jednak pana Leontiewa zbyt masywna, co niektórym scenom erotycznym dało (niechcący) zabarwienie trochę humorystyczne. Inscenizacja nie wykorzystała możliwości pani Karczmarewicz, której popis spodziewanego efektu nie osiągnął.

Dyrygował p. Berdiajew, ceniony i poważany symfonista, czujący się w atmosferze muzyki Ryszarda Straussa b. dobrze.

Afisz głosił dwa nazwiska kierownicze tego „uroczystego" widowiska premierowego: Leontjew i Berdiajew. Te dwa „ew" miały swoją drażniącą wymowę i nie raziły prawdopodobnie tylko dyrektora naszej Opery.

B—moll.

„ORDYNAT MICHOROWSKI"



TAMARA WISZNIEWSKA
gra główną rolę w filmie p. t. „ORDYNAT MICHOROWSKI" reż. Henryka Szaro, którego premiera odbędzie się na Święta Wielkanocne w kinie „CAPITOL" w W-wie. Fot. „Femika-film".

z CAŁEGO ŚWIATA

× POLA NEGRI po nakręceniu dwuch filmów dla Terra-Film (Ufa) „Moskwa — Szanghaj" z Gustawem Diesslem w reżyserii Pawła Wegenera i „Hrabiny Volescu" również z Diesslem według oryginalnego scenariusza Ewersa, przystąpiła do nakręcania w 3-ch wersiach językowych (niemiecki, francuski i angielski) głośnego dzieła Flauberta „Madame Bovary". Dla Warszawy ciekawym będzie porównanie koncepcji filmowej i kreacji wielkiej tragiczki z realizacją sceniczną u Malickiej, która wystąpi w roli tytułowej.

MIGAWKI TANECZNE

Bardzo ciekawe dwa filmy taneczne oglądaliśmy niedawno. Jeden z nich, słuszniejszy tytuł oryginału brzmiał — „Born to dance" — (urodzona do tańca) był o tyle interesujący, że po raz drugi w nim ujrzeliśmy „Broadway Melody of 1936". Nie ulega wątpliwości, że Eleanor to Fred Astaire w spódnicy, zresztą, bardzo krótkiej i jest — tym razem zgodnie z polskim tytułem — bezspornie „Królową tańca", jeżeli chodzi o „tupanki". Ma tu do pomocy grono również świetnych tancerzy z Uną Merkel i Sid Silverem na czele. Układy taneczne — dzieło Dave Goulda — wielce oryginalne i pomysłowe.

Najpiękniejszym filmem tanecznym, jaki można sobie wyobrazić, to — „Sylwetki". Układy taneczne pomysłu Hedi Pfundmayer, baletmistrzyni Opery Wiedeńskiej dają moc rozkoszy dla szczerego miłośnika tańca. Wśród wykonawców tak wybitne siły baletu wiedeńskiego, jak: Lisa Handl, Mila Cirul oraz znakomity Toni Birkmeyer, odpowiednik naszego Parnella. Sama treść filmu oparta jest na konflikcie zasadniczym między baletem klasycznym, a prądami modernistycznymi. Balet p. t. „Historia tańca na prestrzeni wieków" zawiera moc fascynujących momentów, a zakończenie w postaci scenki w Praterze przypomina słynnego „Pietrka" Strawińskiego.

W tańcu artystycznym panuje teraz na ogół wielkie ożywienie. Nieustannie coś się dzieje. Rozpoczęło się od recitalu Ziuty Buczyńskiej, która powtórzyła następnie częściowo swój występ do spółki z Haliną Hulanicką i Ireną Prusicką. Z tańców Ziuty Buczyńskiej najlepiej tym razem wypadły „Kaprys" (misterne cyzylowanie oryginalnych deseni tanecznych) oraz „Krakowiak" (układu Z. Mikołajczewskiej), który znacznie zyskał po drobnych poprawkach i jest teraz prawdziwym wzorem artystycznej stylizacji tańca ludowego. Halina Hulanicka zaimponowała, zwłaszcza, znakomitą „Rumbą", jednym z najwybitniejszych arcydzieł tanecznych, jakie oglądaliśmy w ostatnich czasach, piękne sharmonizowanie poczucia rytmu i muzykalności z refleksami ruchowymi. Ładnie wypadła także Polka Łabuńskiego oraz „Meduza", tym razem wyrazi-



ZIUTA BUCZYŃSKA
w tańcu „Fragment z Księgi Dżungli" Scotta.

strza, niż dawniej. Trzy nowe tańce Ireny Prusickiej wywarły na ogół dodatnie wrażenie. Taniec słowiański był interesującym studium taneczno - slawistycznym, a dwa tańce z cyklu „Alt - Wien": walc i polka — obrazkami stylowo - rodzajowymi, zlekka zaprawionymi groteską. Bardziej podobały się, coprawda, dawne, jak impresjonująca „Pustynia" i porywająca „Robotnica" o tyle tym razem ciekawa, że jednocześnie pokazała swoją „Robotnicę", zupełnie analogiczną w kostiumie — Buczyńska, co dawało pole do wielu interesujących porównań.

Recital taneczny Lody Halamy był uwieńczeniem dziesięciolecia jej pracy artystycznej na terenie warszawskim, bilansem przeszłości, a zarazem perspektywą na przyszłość. Najlepiej wypadły tańce o charakterze raczej „dawniejszym", a więc arcyznakomita „groteska marynarska", która pomimo swego „lekkiego" rodzaju jest jednak tańcem niezmiernie wysokiej wartości artystycznej oraz przemiły „taniec z balonikami", prawdziwa perełka taneczna.

Ogromnym powodzeniem cieszy się w teatrze „8.15" dwukrotny taniec solowy Franciszki Mannówny, laureatki wiedeńskiego konkursu międzynarodowego (w zespole Ireny Prusickiej). Ta wybitnie utalentowana tancerka pokazuje eterycznie odtańczonego walca, a następnie egzotyczny taniec dżunglowy, ujawniając nietylko śliczną budowę i idealne dla tancerki nogi, ale również niezbędny temperament i żywiołowość. To bardzo kulturalna i inteligentna artystka. Solowe popisy Bukińskiej odznaczają się niepozslakowaną techniką i ogromnym zapałem: niezawsze trzymany w karbach. Należałoby tylko usunąć lekki posmaczek dancingowy, a będzie to tancerka wielce wartościowa. Zespół spisuje się doskonale pod kierunkiem baletmistrza Adamczewskiego, który po objeździe całego świata może nam dać jeszcze bardzo wiele ciekawego.

Henryk Liński.

MUZYKA

Operetki prywatne świeżo wystąpiły z premierami.

W teatrze „8.15" przy ul. Śniadeckich dano „Taniec szczęścia" Stolza, którego wytworna melodyka zawsze przypada do smaku Warszawie. Przedstawienie kulturalne i wesołe, reżysersko przez Zdzitowieckiego zmontowane z smakiem i pomysłowością. Obok Szczepańskiej, dzwoniącej swym srebrzystym sopranem ze zwykłą lekkością i wdziękiem, zatriumfowała Mary Didur, której temperament, elegancja, gorący „timbre" głosu i pewna oryginalność urody wróżą pierwszorzędną karierę operetkową. Rakowiecki — to naprawdę talent i rasa: subtelny, szczery, lekki, muzykalny, przytem nieszablonowy. Wyborny i b. nowoczesny w typie wodewilista. O sukcesie komizmu Gierasieńskiego nie trzeba nawet mówić, był to sukces pewny, murowany. Zaznaczmy jeszcze postępy wokalne i aktorskie Olgierda, imponującego „Valentinowską" urodą i piękną postacią.

Tyle o lekkiej muzie.

A ta „najczystsza" muzyka estradowa ma w tym sezonie szczęście. Dość przypomnieć triumf Kreislera w Filharmonii. Cóż to za nieskazitelny arcy-szlachetny artyzm! Istny „Król skrzypków", ten pełen dostojeństwa i prostoty artysta.

Koncert kompozytorski Kasserna z udziałem Ewy Bandrowskiej był jednym z ważniejszych wydarzeń w Filharmonii. Śpiewaczka, o której dziś tak głośno w związku z jej trofeami zagranicą, i kompozytor, odnieśli poważny, bezkompromisowy sukces.

B-moll.



HELENA NESTERÓWNA
gwiazda baletu, komedii i filmu.

× „MAŁY KRÓL" Kalmana (w Warszawie nie grany) ujrzał światło kinkietów w teatrze newyorskiego Broadway'u.

× „CZY ŻERALDINA JEST ANIOŁEM" to komedia święcąca w Wiedniu triumf olbrzymi. Autorem jej jest Hans Yarray, którego oklaskiwaliśmy w Warszawie jako aktora i autora komedii „Ping Pong".

× „POLSKA KREW" Nedbala w nowoczesnej przeróbce grana jest na scenach niemieckich.

× POD ZŁOTYM PÓŁKSIĘŻYCEM" nosi tytuł najświetniejsza operetka Stolza. Ostatnia nowość autora „Peppiny" i „Tańca szczęścia" przedstawia dzieje pierwszej kawiarni w Europie założonej przez polaka Jerzego Kulczyckiego. Akcja przedstawia moment wkroczenia polaków do Wiednia po pogromie turków i toczy się aż do dzisiejszych czasów. Jest to największy przebój operetkowy od czasu sławnej „Rose Marie".

× „OSTROŻNIE BRYGIDO" nosi tytuł komedia austrjacka grana z olbrzymim sukcesem w Budapeszcie.

× „FRYDERYKA" operetka Lehara (w Polsce nie grana) obchodziła w Paryżu jubileusz 500-ego przedstawienia.

× „LA POUPONIERE" operetka polskiego kompozytora Kazimierza Oberfelda została w Paryżu sfilmowana.

× „HALKA" NA SCENIE OPERY W TALINIE wystawiona w tych dniach doznała entuzjastycznego przyjęcia. Ogólnie podobały się tańce układu baletmistrza Piotra Zajlicha.

× BOŻENNA ALESSO, fenomenalna tancerka i akrobatka, wystąpiła w nowej rewii „Casino de Paris", której głównym filarem jest Maurice Chevalier, zdobywając wielki sukces. Reklamowana, jako „Danseuse polonaise Mlle Alesso".

× STANISŁAW NIEDZIELSKI sławny pianista polski, który święcił ostatnio triumfy podczas turnee po Afryce, żeni się. Ślub wirtuoza odbędzie się dnia 2 marca w kościele parafialnym w Neuilly (Paryż). Wybranką serca głośnego Polaka jest panna Charpantier, skrzypaczka, córka znanego milionera.

× TRIUMF „CANDIDY" SHAW'A W LONDYŃSKIM TEATRZE „GLOBE". Najświetniejsza komedia autora „Profesji pani Warren" G. B. Shaw'a „Candida" na scenie teatru „Globe" w Londynie doznała entuzjastycznego przyjęcia ze strony prasy i publiczności. Podobno jedna z najpoważniejszych scen warszawskich robi starania, aby otrzymać tę sztukę znakomitego ironisty.

W Londynie tytułową rolę grała Ann Harding, hollywoodzka gwiazda, specjalnie sprowadzona do tej roli przez Shaw'a

Andrzejewska i Sielański w filmie „Dorożkarz nr. 13"

„Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju", mówi przysłowie.

Do Jadzi Andrzejewskiej trudno zastosować to przysłowie, gdyż ta młodziutka, niemal genialna artystka zdobyła sławę w kraju, a ma już też etykietę „zagraniczną". Przecież, jak wiemy, Francuzi, porwani jej talentem, nakręcili z Andrzejewską film w Paryżu, uważając ją za talent zjawiskowy o wszechświatowym znaczeniu.

Jadzia Andrzejewska ukończyła niedawno nowy polski film pod reżyserią Mariana Czauskiego p. t. „Dorożkarz Nr. 13", w którym gra główną rolę kobiecą. Nic więc dziwnego, że premiera komedii „Dorożkarz Nr. 13", oczekiwana jest z nie spotykanym zainteresowaniem.

Realizator filmu „Dorożkarz Nr. 13", Marian Czauski, pierwszy zrozumiał, że Sielański w roli „prowadzącej" — to pewny i mocny filar, na którym oprzeć się może artystyczne powodzenie filmu. Tak się też stało. Wtajemniczeni twierdzą, że takim, jakim będzie Sielański w „Dorożkarzu Nr. 13" — nie był dotychczas, że jako „dorożkarz Nr. 13" — będzie prawdziwą sensacją.

Jeżeli chodzi o dalszą obsadę tego oryginalnego filmu — to przedstawia się ona nie mniej interesująco. Spotykamy więc: fascynującą Lenę Żelichowską, pięknego Mieczysława Cybulskiego, niezrównaną Mieczysławę Ćwiklińską, kapitalnego Czesława Skoniecznego i wielu innych naszych najlepszych artystów.



Sielański z ulubioną kobyłą „Primadonną Wandą".
Scena z filmu p. t. „Dorożkarz Nr. 13".

Fot. P.A.T.

Najrozkoszniejsze babcie świata

Sędziwa Mistinguett wychodzi zamąż po długiej, długiej, bo zgórą 50-letniej przerwie. Zgrzybiała. a jednak wciąż jeszcze młodzieńcza vedetta paryska wraca właśnie z Ameryki, aby już na wiosnę stanąć na czele wielkiej rewii w „Moulin Rouge". odkupionym od amerykanów ze względu na Wystawę Światową w Paryżu.

Mistinguett, jako młoda mężateczka, będzie nową atrakcją dla paryżan, niezmiennie zakochanych w tym Matuzalu rewii. tej pogromczyni starości, w symbolu wiecznej młodości Francji.



MISTINGUETT.

„Stare gwiazdy" są dziś znowu modne. Nawet w Ameryce mocno podtatusiała Mary Pickford znalazła sobie młodego męża w osobie Buddy Rogersa, popularnego niegdyś bohatera filmu „Skrzydła", a po - balzakowska Mae West bije rekordy zarobkami filmowymi! Jej walka z królem prasy Haerstem, inspirowana przez przyjaciółkę tegoż, również zębem czasu draśniętej Marion Davis, zakończyła się zwycięstwem Mae, znów dziś popularnej i uwielbianej w Ameryce.

Jedna z wytwórni w Hollywood rozpoczyna nakręcanie filmu „Sara" (z życia genialnej Sary Bernhard) z Cecile Sorel, sędziwą tragiczką francuską, znaną i w Warszawie.

PRZEGLĄD PRASY

„Przegląd Artystyczny" na miesiąc luty pisze:

Do literatury pięknej o aktorach w pierwszym rzędzie zaliczyć trzeba nieśmiertelną „Komediantkę" Reymonta. Książka ta przyniosła sławę autorowi, późniejszemu laureatowi Nobla. Do powieści tej wracają chętnie zarówno aktorzy jak i publiczność, interesująca się teatrem.

Literatura sensacyj brukowych o aktorach znalazła również swego „piewcę" w osobie tajemniczego pana K. Norden'a, piszącego na łamach „Dobrego Wieczoru". Szeroka publiczność, czytając te wypociny na temat życia aktorek i arystokracji sądziła, że pisał to jakiś grafoman, który nawet w przedpokojach arystokratycznych nie bywał, a który widać po papie dostał od jakiejś aktorki i mszcząc się wypisuje paszkwile, oczerniające aktorstwo polskie. Wszystko byłoby w porządku, wszak paszkwilistów i szantażystów nie brak u nas w Warszawie, gdyby nie ta okoliczność, że niejaka pani Jadwiga Migowa, pisząca sprawozdania teatralne, a jednocześnie prowadząca propagandę prasową w niektórych teatrzykach, przesiaduje w kawiarniach przy stolikach aktorek, z nich wyciąga sekrety, a następnie chwali się, że to ona pod męskim pseudonimem pisze te „powieści", że Redakcja tak jest zachwycona jej talentem, iż podwyższono jej honorarja autorskie, że wysyłają ją zagranicę na odpoczynek, aby nabrała inwencji do dalszej pracy, i tym podobne.

„Dobry Wieczór" jest dziennikiem dobrze redagowanym i poczytnym, a te niesmaczne „sensacje" dostały się tam widocznie tylko przez jakieś nieporozumienie.

Podobno pewna poważna wydawnicza firma ma zamiar wydać te bzdury K. Nordena. Gdyby w czasie, gdy świetni pisarze nieraz bardzo długo muszą czekać na wydawców, miano popierać taką „literaturę", byłby to skandal nie do darowania.



JADWIGA MIGOWA w karykaturze Wł. Leskiego.

A jeśli to prawda, że K. Norden i pani Jadwiga Migowa są jedną i tą samą osobą, to byłby to już poważny cień na osobie p. Migowej, odbijający się także na stosunku aktorstwa do prasy.

ADAM DOŁŻYCKI — starszy posterunkowy.



W ostatnim zeszycie „Muzyki" znajdujemy następującą notatkę:

„Przed kilku dniami usłyszeliśmy przez tubę telefonu dobrze znany głos: „Tu starszy posterunkowy, Adam Dołżycki". Czy to żart karnawałowy? Bynajmniej. Najświetniejszy dyrygent operowy, ten nasz, który przed dwoma laty potrafił w ciągu kilku zaledwie miesięcy zorganizować operę i wystawić w świetnej formie „Erosa i Psychę", dziś jest starszym posterunkowym, przydzielonym do orkiestry policyjnej. Pozbawiony pracy, nie znajdujac zarobkowania w muzyce, ratuje swą egzystencję w policji.

Powiedzą nam: „tak się złożyły okoliczności", „istnieją specjalne względy"...

My odpowiemy: „Dość tych przeklętych „względów", które wytwarzają sytuacje paradoksalne i gorszące, które sztuce naszej przynoszą nieobliczalne szkody!..."

Od Redakcji:

Uznajemy talent Dołżyckiego bez zastrzeżeń, ale nie zapominajmy jaką atmosferę niepokoju, intryg, i zamieszania wnosi znakomity ten muzyk w środowisko, w którym pracuje.

Miejmy nadzieję, że ciężkie chwile doświadczeń „zreformują" system współżycia z ludźmi jednego z najlepszych kapelmistrzów.

MÓWIĄ ŻE...

Niema tego złego i t. d... P. Węgierko b. dobrze wyreżyserował „Wesele Figara" i b. źle zagrał w tejże sztuce tytułową rolę. Potem zachorował na grypę, a po chorobie wyjechał do Krynicy. Zastąpił go p. Solarski, który umie prędko mówić, co w roli Figara (Warszawa pamięta ś. p. Rolanda—ojca i J. Leszczyńskiego) jest b. ważne. No i... przedstawienie kończy się teraz znacznie wcześniej...

Po pierwszym występie p. Solarskiego maszyniści urządzili artyście owację, unosząc go na rękach. Nazwali to demonstracją anty... węgierską.

PODOBNO...

...z cyklu monumantalnych filmów historycznych po „Barbarze Radziwiłłównie" ma być nakręcona nowa epopea monumentalna p. t. „Kazimierz Wielki i Esterka". Królem będzie z przyzwyczajenia Zacharewicz. Esterką jakoby Nora Ney.

...Wanda Wermińska po eksperymentach operetkowych na Karowej wyjeżdża za granice... powiatu warszawskiego błekitnym Packardem (atuobusem P. K. P.).

...p. dyr. Mazaraki zaprosił na cykl gościnnych występów wszystkich emerytów Opery warsz. en masse.

HENRYK LIŃSKI.

Filmy tygodnia

„WIELKA MIŁOŚĆ BEETHOVENA" (kino „Atlantic")

Jeszcze jeden z filmów biograficznych. Dawniej oglądaliśmy długą serię filmowych życiorysów Schuberta. Teraz widocznie rozpoczyna się passa na Beethovena, ale trudno chyba będzie dać film, przewyższający tę „Wielką miłość Beethovena". Jest to bowiem dzieło Abla Gance'a, który w tej swej nowej kreacji bodaj jeszcze przewyższył swoje „Koło udręki". Tak rzadko produkujący się genialny reżyser dał tu znów film którego się nie zapomina i który z pewnością będzie miał swoją kartę w dziejach kinematografii. Niezależnie od wielce oryginalnego i wysoce artystycznego ujęcia całości, niezależnie od pięknego akompaniamentu muzycznego, splecionego z najmilszych melodyj wielkiego muzyka, są tu momenty ogromnie fascynujące. Zagadnienie uplastycznienia głuchoty Beethovena w jego rozmaitych stadiach, jak na nią zapada, jak przy niej tworzy jednak arcydzieła — przejmuje i wzrusza. Niesposób słowami wyrazić wszystkich finezyj tego filmu: reżyserskich, operatorskich, oświetleniowych i montażowych. Harry Baur gra wspaniale. Partnerują mu poprawnie: Jany Holt (Julia) i Annie Ducaux (Teresa). Zakończenie filmu jest równie nieumotywowane, jak piękne i wzruszające.

„KRÓLOWA DŻUNGLI" (kino „Colosseum")

Po tylu odmianach męskich Tarzanów mamy obecnie Tarzana kobiecego. Jest „nim" Dorota Lamour, rzeczywiście wielce nadająca się do roli dzikuski, dzięki swej egzotycznej twarzy metyski i strzelistej budowie. Aktorsko jest na dużej wysokości i bardzo pięknie interpretuje melodyjną piosenkę dżunglową o księżycu i jego cieniach. Sam film jest jeszcze jedną z odmian filmów „tarzanowatych", ale ogląda się go z niesłabnącym zainteresowaniem. Jest tu szereg scen naprawdę frapujących, jak, zwłaszcza, najazd słoniów i małp. Trzeba przyznać, że zespół aktorski, zarówno biały jak i „kolorowy" jest świetnie dobrany i spisuje się doskonale. W sumie film ciekawy i godny ujrzenia.



Harry Baur, jako Beethoven w filmie p. t. „Wielka miłość Beethovena", wyświetlany z niebywałym powodzeniem w kinie „Atlantic" w Warszawie.

Fot. „Leo-film".

Książki nadesłane

Juljan Krzewiński „Precz z cywilizacją". — Nakład F. Hoesicka.

Autor wielu powieści z dziedziny okulitystycznej, a później całego szeregu utworów osnutych na tle życia teatralnego — po dłuższym milczeniu ogłosił drukiem książkę, w której pod pozorem sensacyjnej treści przemyca zjadliwą krytykę dzisiejszych urządzeń socjalnych, gospodarczych i politycznych. Nie wskazując, niestety, dróg wyjścia z panującego na świecie chaosu — autor kończy powieść pesymistycznym załamaniem rąk i bezradnym okrzykiem anarchisty.

Czyta się tę powieść jednym tchem. Zajmująca sensacyjna treść, oryginalne typy i sytuacje, paradoksalne aforyzmy, a nadewszystko język prosty, płynny i niewymuszony stawiają tę powieść w szeregu utworów beletrystycznych cieszących się poczytnością najszerszych warstw czytelniczych.

„NICPOŃ"



Głośna aktorka francuska Danielle Darrieux, znana z filmu „Mayerling" (bar. Vetsera), odniosła szalony sukces w najnowszym filmie „Nicpoń", wyświetlanym w kinie „Stylowym".

Fot. „Ekafilm".

Uniwersytet sztuki kosmetycznej

W Hollywoodzie powstał pierwszy Uniwersytet Sztuki Kosmetycznej. Założyli go bracia Westmore. Ojciec ich, Jerzy Westmore, anglik z pochodzenia, w 1910-ym roku przybył do Hollywood. W tym czasie Lasky i Zukor „w powijakach" prowadzili tam produkcję filmową. Główną ich gwiazdą (wówczas amantką — nie grała dzieci jeszcze, a w 10 lat później) była Mary Pickford, bohaterką komedii była Mabel Norman, zmarła przed kilku laty. Usunięto ją z pracy filmowej po wplątaniu w sprawę zabójstwa pewnego milionera.

Do tych gwiazd zwrócił się Jerzy Westmore; zaproponował im robienie maquillage'u. Próba wypadła bajecznie, zachwycone gwiazdy zaprotegowały Westmore'a do „Paramountu" i do samej śmierci (zmarł 5 lat temu) był naczelnym charakteryzatorem tej wytwórni. Czterej jego synowie poszli w ślady ojca. Po ojcu w „Paramouncie" objął stanowisko Wally, John w „R. K. O.", Perc w „Warner Bross." i Monty w „Metro Goldwyn Mayer".

Sposób maquillage'u zmienił się z chwilą wprowadzenia taśmy t. zw. panchronomicznej. Np. dawniej do charakteryzacji Jerzy Westmore używał szminki zielonkawej, co robiło twarz podobną do trupa, a jednak odmładzało to aktorkę na filmie kolosalnie.

Otwarcie „Domu Westmore'ów" było wielkim świętem w świecie gwiazd filmowych. Przed gmach zajechała wielka liczba „Rollce Royce'ów", „Packardów": „Issot Fraschiń" i t. d., z których wysiadały gwiazdy, reżyserzy i producenci filmowi. Wejście było rzęsiście oświetlone „jupiterami", Radio nadawało przebieg otwarcia, operatorzy dokonywali zdjęć osób wchodzących do „Uniwersytetu sztuki kosmetycznej".

Wally Westmore wręczył gruby pozłacany klucz Kay Francis, która otworzyła wejściowe drzwi. Hebel elektryczny włączyła Jean Blondell. Wszyscy składali swe podpisy do „złotej księgi", poczym odbyła się rewia najpiękniejszych statystek z Hollywoodu, prezentujących fryzury od 1-go roku (Ewa) po przez wszystkie wieki. Przedefilowała: Kleopatra, Piękna Helena, Salome, Messalina, Madame Pompadour, Maria Ludwika, Józefina de Beauharnais, Lola Montez, Cleo de Merode i fryzura „paziów", wymyślona i lansowana w 1924 roku przez Polę Negri.

Uroczystość została zakłócona małym incydentem.

Mary Pickford zażądała usunięcia napisu z pod jej fotografii „Fryzura Mary Pickford, wykonana w 1910-ym roku przez Jerzego Westmore". Artystka dowodziła, że w tym roku nosiła loczki, ale noszono ją na ręku.

Artystki podtrzymały to dowodzenie, mówiąc, że rzeczywiście po rozwodzie z Tomem Moorem wtedy już Mary Pickford nosił na ręku... Douglas Fairbenks.

ZOFIA G.

W Filadelfii otwarta została Krajowa Wystawa wraz z konkursem fryzury 8, 9 i 10 lutego, urządzona przez tamtejszą organizację fryzjerów.

W Nowym Yorku w Ambasador Hotelu dn. 9, 10 i 11 marca odbędzie się Międzynarodowa Wystawa Kosmetyczna.

REDAKTOR przyjmuje interesantów codz. 17 — 19. Administracja czynna codziennie 10 — 14 i 16 — 18.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 43 (parter) tel. 810-81.
CENY OGŁOSZEŃ: Cała strona zł. 400, ½ strony — zł. 240, ¼ strony zł. 140, ⅛ str. — zł. 80, ogłosz. dwukolor. 50% drożej.
1 milim. szerokości jednej szpalty (układ 5-cio szpaltowy) w tekście 40 gr., za tekstem 30 gr. Ogłoszenia drobne 15 gr. za wyraz. Prenumerata: rocznie zł. zł. 7.20, ½ rocznie 3.60, kwart. 1.80
Prenumeratę przyjmują wszystkie oddziały P.K.O. Konto czekowe Nr. 11.840 i oddziały pocztowe Konto rozrachunkowe, Warszawa I.
Wydawcy: JÓZEF KISELHOF i I. ROTSZTADT - MIASTECKI. Zakł. Wyd.-Druk. „Praca", Warszawa, Kredytowa 2/4. Tel. 660-70. Redaktor WŁODZIMIERZ ŁOHAZA.